

Osobiście na 25-lecie A.P.A.J.T.E., Stowarzyszenia Polskich Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie, czyli Jak zostałam dziennikarką

Dzień 13 października 1972 roku wypadła w piątek. Ale przecież samolot Fairchild FH-227 Urugwajskich Sił Powietrznych nie dlatego się rozbił, że leciał trzynastego w piątek, a dlatego, że wiał silny wiatr i piloci stracili orientację nad zachmurzonymi Andami. Na pokładzie znajdowało się 45 osób, w tym zawodnicy drużyny rugby union z Montevideo lecący na mecz do Santiago de Chile. Nieprawdopodobny zbieg okoliczności spowodował, że nie zginęli wszyscy na miejscu. Niestety drugi nieprawdopodobny zbieg okoliczności spowodował, że uwięzionych na wysokości 3600 m n.p.m. w strefie wiecznych śniegów rozbitków nie znaleziono. Po 72 dniach znaleźli się sami. Media w całym świecie pisały o tym, jak żyła i przeżyła szesnastka rozbitków w warunkach tak skrajnych, że właściwie nie do przeżycia.

W moim domu zawsze czytano prasę, tato polityczną, mamy ulubionym pismem był "Przekrój" i "Kobieta i życie", moim od "Misia" przez "Świerszczyk" i "Płomyczek" pisma filmowe "Ekran", "Film", "Kino", "Magazyn Filmowy"... Słowo pisane, książki, czasopisma, gazety cieszyły się u nas (tak jak w ogóle wtedy) ogromnym poważaniem... Gdy coś, co przeczytaliśmy, nas szczególnie poruszyło, dyskusjom nie było końca. Żył się tym. Pamiętam przygnębiający nastrój po zamachu na Kennedy'ego 22 listopada 1963 roku, uczucie żalu po powodzi, która zalała Florencję 4 listopada 1966 roku i zniszczyła bezcenne zabytki, choć nikt z nas nie był we Włoszech, pamiętam rozmowy po tym, jak dr Christiaan Barnard dokonał pierwszego udanego przeszczepu serca 3 grudnia 1967 roku, szczególnie smutne, bo 11 lat wcześniej nie było ratunku dla 19-letniej siostry mojej mamy chorej na serce...

Po tym, jak znaleziono rozbitków katastrofy w Andach próbowaliśmy się wczuć w ich dramatyczną sytuację i w końcu po burzliwych dyskusjach zgodziliśmy się co do tego, że nie było innego wyjścia, ci, którzy przeżyli, musieli się żywić tymi, którzy zginęli lub umierali w wyniku odniesionych obrażeń... I my stalibyśmy się kanibalami, musieliśmy to przyznać... Te i temu podobne rozważania z rodzicami, zwłaszcza z mamą, z pogranicza - jak bym to dziś podsumowała - filozofii, etyki, psychologii, socjologii... przy okazji takich wydarzeń kształtowały mój światopogląd na resztę życia. A zawód dziennikarza wydawał mi się być najbardziej pasjonujący ze wszystkich. To oni, dziennikarze, żurnaliści, (foto)reporterzy, publicyści są w samym sercu wydarzeń, to oni mogą być tam, gdzie dzieją się sprawy poruszające świat, wpływają na opinię publiczną, podpowiadają, jak się zachować, żeby nie naruszać obowiązujących norm etycznych, to oni próbują tłumaczyć ich przekroczenie w sytuacjach wyjątkowych. A gdyby tak zostać dziennikarzem? Nie jakimś tam pismakiem, ale takim z prawdziwego zdarzenia?

Jednak musiało minąć wiele lat i - jak się miało okazać - wiele było przede mną zakrętów do wzięcia, dróg do trudnych wyborów na skrzyżowaniach, osobistych zawirowań, nim rzeczywiście stałam się dziennikarką, redaktorką, (foto)reporterką, publicystką, felietonistką, recenzentką, eseistką... (a także - wyjątkowo - poetką, od kilku lat spisuję też swoje wspomnienia). W 1974 roku byłam po raz pierwszy we Włoszech, w 1976 przejeżdżałam w Dallas koło budynku, z którego padły strzały w kierunku odkrytego samochodu J.F. Kennedy'ego, w 1979 roku robiłam drugą maturę w życiu, po polskiej szwajcarską, co oznaczało, że jeśli chcę pisać zawodowo, to po niemiecku i to nie od razu, najpierw muszę studiować, okrzepnąć w obcym mi przecież języku, zacząć go traktować jakbym nim mówiła od zawsze i to na odpowiednio wysokim poziomie. Zawód dziennikarza jest zawodem atrakcyjnym, niejeden chciałby go uprawiać, nie wszystkim się udaje...

W roku 1996 mój zawodowy status był następujący: od połowy lat 80., jeszcze w czasie studiów historii sztuki (i innych kierunków) na uniwersytecie zuryckim, zaczęłam publikować recenzje z wystaw w Zurichu i wokół Zurichu w ichniejszych gazetach. W 1986 nawiązałam kontakt z organizacjami polonijnymi w Szwajcarii, bo mając pomysł zaproszenia Piwnicy pod Baranami do Zurichu, musiałam mieć ich pomoc i wsparcie. Właśnie wtedy zaprosił mnie do napisania o tym wydarzeniu twórca polonijnego pisma "Nasza Gazetka" redaktor Tadeusz Wojnarski, przerodziło się to w stałą regularną współpracę i tak to określonymi drogami wróciłam do języka polskiego. Zaproponowałam więc swoje teksty w kraju, w "Przekroju", krakowskim "Dzienniku Polskim"... (później moje publikacje pojawiały się w Gazecie Wyborczej, National Geographic Traveler, magazynie "Edukacja i Dialog", na różnych portalach od Racjonalisty.pl począwszy aż po mój własny Sofijon.pl).

Także w konsekwencji zaproszenia Piwnicy zaprzyjaźniłam się z pewną parą polonistów, Polakami pracującymi jako redaktorzy w wydawnictwie Ringier, największym w Szwajcarii. To oni, a właściwie ona, Ewa Cechnicka, wciągnęła mnie do pracy w redakcji magazynu telewizyjnego. To było już w połowie lat 90., do tego czasu pisanie zarabiałam niewiele, zasadniczo finansowałam swoje życie (studia, pisanie, podróżowanie z mężem-żeglarzem) dorywczą pracą na nocnej zmianie na zuryckiej poczcie Sihlpost (później Mülligen) przy segregacji paczek. W sumie pracowałam na poczcie 14 lat, statystycznie około pół roku na rok, pozostałe pół roku miałam wolne od pracy przeznaczone na żywot zasadniczo awanturniczy. Całe życie chciałam być tak bardzo, jak to tylko możliwe, wolna. Praca na poczcie dawała mi wolność. Prace, które wykonywałam w życiu, a było ich trochę, dawały mi wolność do rozwoju. Rezultatem tego są moje teksty. Każdy ma *jakiś* los, ja mam taki.

Ponieważ praca na poczcie w Polsce kojarzy się raczej z zawodowym upadkiem niż ze wzrostem, czyli zgoła inaczej niż praca na tej szczególnej poczcie w Zurichu, kilka słów wyjaśnienia: Sihlpost (i kilka lat także nowa poczta w Mülligen) w tamtych czasach to było miejsce pracy dla tych spośród wielu studentów, którym rodzice z różnych powodów nie finansowali studiów, zarówno zurycki uniwersytet, jak i zurycka politechnika miały umowy z pocztą, żeby poczta, zwana tu *PTT*, poza normalnymi etatami zatrudniała w pierwszym rzędzie zmuszonych do pracy studentów, tzw. *Werkstudenten*. Poza tym z tej tymczasowej indywidualnie regulowanej formy zarobkowania korzystali ludzie różnych wolnych zawodów, freelanserzy, niekiedy sztuką zarabiający artyści, niechęć się wiązać etatami podróżnicy (jakiś czas był wśród nich także mój chłopak a potem mąż, Martin Binswanger, najpierw student medycyny, a ostatecznie żeglarz), ludzie o różnych nietypowych "alternatywnych" pomysłach na życie. Było to wielobarwne, trochę jeszcze hipisowskie, niezwykle inspirujące towarzystwo, tu zawiązywały się przyjaźnie na resztę życia, tworzyły się nowe związki (mojego przyszłego męża poznałam w sierpniu 1981 roku właśnie tu), rozpadały stare... Jak teraz radzą sobie pracujący studenci? W call-centrach? Korporacjach? McDonaldach? Czy może tak, jak opowiedziała to Małgośka Szumowska w filmie "Sponsoring"? Nie wiem... Dziś nazywa się ten czas tamtej poczty "Postromantik"... I w różnych podgrupkach spotykamy się i wspominamy "romantyczną pocztę" do dziś...

Pewna para kupiła całe wzgórze z rozpadającym się opuszczonym gospodarstwem wśród gajów oliwnych i winnic w Toskanii - dzięki pieniądзом z poczty doprowadziła ją do rozkwitu... byłam tam wiele razy. Inna para - ona Szwajcarka, on afrykański królewski potomek (naprawdę) założyła plantację ananasów na którejś z tropikalnych wysp i dofinansowywała ją z zarobków na poczcie, póki nie zaczęła sama na siebie zarabiać, pamiętam, że któregoś razu oboje pracowali na kupno ciężarówki... Mój świeżo ukochany rzucił medycynę i stał się zawodowym żeglarzem, zaczęliśmy pływać po Morzu Śródziemnym, po Karaibach, Wyspach Zielonego Przylądka, Azorach, aż po Bali i Borneo... dziś ma na swoim koncie kilka rundek wokół globu... No, a ja zostałam dziennikarką i redaktorką na dobre... I na złe - życie na krawędzi, bez etatu, bez płatnych ferii, bez gwarancji pracy, bez zarabiającego na wszystko męża, nie zawsze jest fajne, choć nie zamieniłabym go na żadne inne. W 1996 miałam już legitymację szwajcarskiego Związku Dziennikarzy (SJV), gdy przyjechałam na Forum Mediów Polonijnych do

Tarnowa oddelegowana z ramienia "Naszej Gazetki".

I cóż to były za dni! Co za spotkania! Co za wrzawa! Radosny chaos pierwszego forum w takich wymiarach (wcześniej, w pierwszych latach po transformacji, były już jakieś, ale bardziej kameralne), mówiono o nas w krajowych i polonijnych mediach, spotkaliśmy się, my, Polacy mieszkający poza granicami kraju, przez tyle lat przekonani, że to będzie ideologiczne odcięcie od kraju na zawsze, w ślicznym małopolskim Tarnowie z dziennikarzami mediów polskich. Przybyliśmy zewsząd, z zachodu i wschodu, z południa i północy, do nas dokooptowali redaktorzy gazet regionalnych, prezentowaliśmy swoje pisma, przeglądaliśmy się w sobie, spotykaliśmy się prywatnie i na oficjalnych wydarzeniach, wymieniali wrażeniami, doświadczeniami, dyskutowali, bawili się. Perspektywy współpracy mediów polskich z polonijnymi roztaczał przed nami krakowski dziennikarz, publicysta, polityk (poseł z listy SLD na Sejm), charyzmatyczny Andrzej Urbańczyk.

To wtedy dowiedziałam się o istnieniu A.P.A.J.T.E., Association Polonaise des Auteurs, Journalistes et Traducteurs en Europe, Stowarzyszeniu Polskich Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie, z siedzibą w Paryżu, działającego na mocy prawa francuskiego od niedawna, bo od 1994 roku, poznałam jego pierwszą prezeskę Alicję Zawadzką. Inicjatorem i współzałożycielem A.P.A.J.T.E. był prof. dr Zbigniew Judycki, dziennikarz, biograf i promotor Polonii. Do organizacji się zapisałam i jestem członkiem A.P.A.J.T.E. do dziś, Zbyszka Judyckiego poznałam i nieraz się z nim w różnych okolicznościach czy to we Francji, czy w Szwajcarii widywałam, z Alą się zaprzyjaźniłam, jeździłam potem do niej do Paryża, na paryskie wydarzenia organizowane lub współorganizowane przez A.P.A.J.T.E., bywało, że w ambasadzie RP, Ala przyjeżdżała do Szwajcarii, odwiedziła Klub Literacki prowadzony przez Barbarę Młynarską-Ahrens. To dzięki A.P.A.J.T.E. wzięłam udział w wystawie fotografii i innych plastycznych dzieł członków Stowarzyszenia w galerii w Dzielnicy Łacińskiej. Zakolegowałam się także z kolejną prezeską Agatą Kalinowską-Bouvy... To na stoisku konsulatu francuskiego i A.P.A.J.T.E. już pod prezesurą Magdaleny Bykowskiej-Pignard, z którą też zdążyłam się zaprzyjaźnić, na Krakowskich Targach Książki 2015 prezentowałam książkowy album "Nasze Mamy", zbiór wspomnień o matkach 23 autorek - ja wśród nich - i 2 autorów, według pomysłu Doroty Zbrożyny, córki rzeźbiarki Barbary Zbrożyny, wydany pod patronatem medialnym A.P.A.J.T.E.

Bardzo wiele zawdzięczam stowarzyszeniu A.P.A.J.T.E., które w tym roku obchodzi 25-lecie swojego istnienia. Bardzo też wiele zawdzięczam Tadeuszowi Wojnarskiemu i jego "Naszej Gazetce". W tym roku minęła 20 rocznica jego śmierci. Był uzdolnionym plastycznie i literacko entuzjastą-pasjonatem. Choć miał za sobą ciężkie wojenne doświadczenia. Jako Jan Pył opublikował swoje wspomnienia z sowieckich łagrów. Namalował, narysował węglem i pastelami ogromną ilość obrazów, portretów (mój także), pejzaży (dostałam od niego jeden, przeprowadza się ze mną dokądkolwiek bym się nie udała). "Nasza Gazetka", po śmierci Tadeusza Wojnarskiego kontynuowana przez jego imiennika Tadeusza Kilarskiego z jego namaszczenia, to piśmiśko niewielkie, jak niewielka jest w sumie Polonia szwajcarska, ale trwające nieprzerwanie od lat 70. XX wieku. Sporo w nim tematów kościelnych, niekoniecznie po linii każdego z nas, mnie pierwszej, niewierzącej, ale też jest to jedyny w swoim rodzaju dokument polnijnego życia. Autentyczny, niekomercyjny, niepropagandowy. Powstało niemal dosłownie na kuchennym stole między zupą a przystawką. Tadeusz Wojnarski składał je zupełnie sam, błędy wycinając nierzadko żyłką, coś przeklejając, coś doklejając, czasami także sam ilustrował.

"Nasza Gazetka" to nie paryska "Kultura", nie "Zeszyty Literackie", a każdy numer gruby jak książka, a w każdym numerze wielkie nazwiska, wielka historia, to maleńki zeszytek ręcznie szydełkowany, ale przecież nie wszystko musi być wielkie, może być drobne, lokalne, a mimo to dotyczące świata. Jedną z moich ulubionych pisarek jest Kanadyjko-Amerykanka Annie Proulx, autorka "Kronik portowych" sfilmowanych jako "The Shipping News" (inna

słynna ekranizacja opowieści spod jej pióra - scenariusze także pisała sama - to "Tajemnica Brokeback Mountain"). Dziś światowej sławy, zgodnie ze swoją dewizą "Najpierw coś przeżyj, potem się zabieraj za pisanie", najpierw przeżywała, potem pisała, stąd beletrystyką zadebiutowała dopiero w wieku 57 lat. Przedtem żyła i pracowała jako kelnerka, autorka instrukcji obsługi urządzeń gospodarstwa domowego, dziennikarka w regionalnych pismach... Ma za sobą liczne przeprowadzki i "imponującą gamę wykonywanych zawodów", jak pisał Michał Nogaś dla Wysokich Obcasów omawiając jej ostatnią książkę. W 2017 roku 82-latka Proulx wydała bowiem swoją, jak uważa, najważniejszą książkę. W polskim przekładzie Jędrzeja Polaka nosi tytuł „Drwale”. To ponad 800-stronicowa powieść, której akcja toczy się na przestrzeni ponad 300 lat. Jest to zgodnie ze słowami wydawcy książki, wydawnictwa "Czwarta strona", "jej opus magnum: epicka, oszałamiająca, gwałtowna, zachwycająco dramatyczna powieść o wyrąbywaniu światowych lasów". "Drwale" wzięli się z obserwacji tego, co w zasięgu wzroku.

Dzięki Tadeuszowi Wojnarskiemu i "Naszej Gazecie", z którą sporadycznie współpracuję do dziś, zostałam członkiem A.P.A.J.T.E. Ileż razy jeździłam do jego niewielkiego mieszkanie w bloku dość daleko od centrum Zurichu, mieszkania szczelnie wypełnionego archiwum "Naszej Gazetki", na ścianach wisiały obrazy, które Tadeusz sam malował, a wisiały tak gęsto, że prawie nie było widać ścian, wchodziło się do pokoju będącego salonikiem i jadalnią prosto na olbrzymią kopię El Greca. Żona Tadeusza, pani Ewa, podawała nam coś do zjedzenia, wypicia, i siadaliśmy do dyktowania i korekty tekstów... A i tak potem znajdowaliśmy błędy już w wydrukowanym piśmku. Ale cóż, nie było wtedy automatycznego korektora, to była praca chałupnicza, żmudna dłubanina, choć nieraz pośmialiśmy się, pożartowali... Obraz z 1995 roku przedstawiający zaułek jakiegoś włoskiego miasteczka (a konkretnie Castagneto Carducci, między Livorno i Piombino) ulubiony temat Tadeusza rysowany węglem, malowany akwarelą, dostałam już wtedy, gdy ciężko chorował, miał raka kości, bardzo cierpiał, ledwie chodził, a jednak wyprowadził mnie wraz z potrzymaną go żoną przed dom i wyniósł swój oprawiony w ramę obraz. Wtedy widziałam go po raz ostatni. Potem był już tylko pogrzeb. Takie mam wspomnienia. Od Magdaleny Bykowskiej-Pignard dostałam właśnie propozycję wydania wyboru moich tekstów. Kto wie, dokąd mnie to zaprowadzi? Pilnie rozglądam się wokół. Dzień 13 października w tym roku przypada na niedzielę, w Europie to jesień, w Polsce wybory, media już od dawna interesują się tym dniem... Nadchodzi ważny dzień. Może dobrze, że to nie piątek?